

# Rozdział pierwszy

Ocknąłem się z wrażeniem, że bardzo długo przebywałem duchem gdzieś daleko, a teraz wróciłem i łączę się z drętym jak kołek ciałem. Z początku nie mogłem poruszać okrytymi chityną kończynami, jednak wkrótce wróciło do nich czucie. Dobrze wiedziałem, dlaczego bezduszna maszyna wyrwała mnie ze snu, w który zapadłem przed odlotem. Można to było wyrazić prościutkim, tym niemniej budzącym grozę zdaniem: nadchodziło przeznaczenie. Koszmar! Pokonując opory, wydostałem się z cicho szumiącego hibernatora. Musiałem się pozbierać i ustalić, gdzie się znalazłem.

Nie wierzyłem własnym oczom. Byłem w nieznanym układzie solarnym. Uśmiechająca się do mnie zagadkowa planeta powoli rosła na ekranach. Orbitowała wokół żółtej gwiazdy, jednak nie sama, ale z innymi zagubionymi w przestrzeni globami. Wyłowilem wzrokiem pasmo asteroidów znaczące się na bocznych ekranach. Domyślałem się, dlaczego mój komputer skierował statek w jej stronę. Zadziwiała atmosferą bogatą w tlen i azot oraz niewyobrażalnymi ogromami wody. Spowijała się wstydliwie w kłęby białych chmur i zdawała się być pokryta wyłącznie błękitnymi oceanami. Spoza obłoków przebierały jednak kuszące lądy, tworzące około jednej czwartej jej powierzchni. Jaśniała silnym blaskiem, kontrastując z czernią usianego kobiercami gwiazd nieba.

— A to ci dopiero! — mruknąłem z zaskoczeniem. — Co za cudo?

Nie przyszło mi do głowy, że po przebudzeniu mogę nadziać się na tak niezwykle ciało niebieskie. Spodziewałem się śmietnika złożonego z rozsianych w przestrzeni drobnych okruchów skalnych i kosmicznego pyłu. Alternatywą mogła być ogromna gwiazda, której nie potrafiłbym ominąć lub kondensująca materię czarna dziura z istic szatańską grawitacją. Z bijącym sercem dostałem się do po-

kładowego komputera, usiłując dowiedzieć się czegoś więcej o tej planecie. Elektroniczny mózg od dłuższego czasu ją badał, beznamiętnie gromadząc dane. Oceniał jej wiek na około pięć miliardów aoriańskich lat. Pod cienką skorupą i gorącym płaszczem krył się złożony z żelaza, niklu i krzemu zwarty rdzeń o bardzo wysokiej temperaturze. Trzymała na grawitacyjnej uwięzi naturalnego satelitę, jednak skalistego i bez atmosfery.

Oglądając ją na fluoryzujących ekranach, to z cicha zżymałem się, po gлотrymeńsku cmokając i starając się utrzymać na wodzy rozszalałe po przebudzeniu nerwy, to znowu pogwizdywałem przez szczeliny węchowe, ciesząc się jak nieopierzony młokos. Inni skazani pewnie nie mieli takiego szczęścia. Aż dziw brał, że na takich peryferiach pojawiło się życie. Los potrafił płać figle! Psubrat komputer leczył mnie jednak ze złudzeń. Znalazłem się bardzo daleko od mojego układu słonecznego. Z osłupieniem przyglądałem się trasie, którą pokonałem. Spałem ponad dziewięćset lat i dotarłem prawie do granic galaktyki. Rzadko kiedy zesłańcom, budzącym się dopiero wtedy, kiedy kończyło się paliwo, udawało się znaleźć przyjazny skrawek gruntu. Najczęściej z przerażeniem oglądali mroźne pustki, a od najbliższych układów solarnych dzieliło ich wiele lat świetlnych. Biedacy nie mieli więc wyboru. Pozbawiony zasilania krążownik stawał się zamarzającym wrakiem, w którym nic nie działało. Jedynym rozwiązaniem, brany pod uwagę od początku pechowej podróży donikąd, było więc samobójcze polecenie anihilacji. Trzask-prask i po krzyku! Nikt tym nieszczęśnikom jednak nie współczuł. W tak wyrafinowany sposób karano bowiem tylko największych przestępców, w opinii ogółu nie zasługujących na akt łaski, wyrozumiałość i przebaczenie.

Siedziałem w ponurym więzieniu na jednym z księżyców Gao-rii, z góry wiedząc, jaki zapadnie wyrok. Wiedziałem, na co się porwałem, więc nie mogłem rościć sobie prawa do obrony. Miałem sporo czasu na rozmyślanie. Nie chciałem skończyć jak inni karnie zesłani w kosmos, a przy tym byłem daleki od tego, by poddawać się, łaścić i żebrać o litość. Upadłbym nisko, gdybym odwoływał się do takich metod. Korzystając ze skrytych znajomości i cichych przymierzy przemyciłem przez labirynt więzienny w Oro nowiutki

x-reproduktor, pozwalający — między innymi — na szybkie przywrócenie zapasu paliwa. Kto wszedł w posiadanie tego rewelacyjnego wynalazku, nie musiał po przebudzeniu mierzyć się z wizją samobójstwa. Był bowiem w stanie okopać się w dowolnym zakątku kosmosu, nawet z dala od przychylnych planet i dożyć w spokoju późnej starości. Nie było tego złego, co by na dobre nie wyszło. Techniczne cudo miało moc aoriańskiego uskrzydłonego boga światła, walczącego z siłami ciemności. Pozwalało stwarzać z niczego.

Sprytu mi nie brakowało, udało mi się oszukać czujnych strażników, więc teraz mogłem śmiać się z prześladowców z Aorii, wrednych autokratów i ohydnych sędziów ferujących w ich imieniu wyroki. Należałem do tych, którzy głęboko nimi gardzili. Rządzący systemem słonecznym odwoływali się do idei przyspieszonego rozwoju, która wymagała rezygnacji z wielu szlachetnych przywilejów, utrwalonych od stuleci na naszych planetach, a szczególnie z polowań na elaoploriony. Ten przywilej utraciła rasa Glotrymenów, którą z dumą reprezentowałem. Pomyślałem z tęsknotą o pobratymcach, którym zakazano myśliwskich wypraw na drugą planetę Archei, Faorię. Przypuszczam, że zachowali mnie w pamięci jako prawdziwego bohatera. Przyświecał mi szczytny cel. Nie godząc się z zakazem, poleciałem na Faorię, skrupulatnie omijając wyznaczone szlaki komunikacyjne i dokonałem prawdziwego spustoszenia. Z mściwą satysfakcją wybiłem ogromne stada elaoplorionów.

Despoci z Aorii wylewali łzy, skarżąc się w całym układzie słonecznym, że poważnie przetrzebiłem zasoby gatunku, z którym wiązano wielkie nadzieje. Wdrażano zakrojony na szeroką skalę projekt, w efekcie którego elaoploriony miały osiągnąć wysoki poziom rozwoju i zamienić się w istoty rozumne. Jako Glotrymen byłem przeciwny takim krokom. Zwierzęta winny były zostać zwierzętami, zwłaszcza te, na które polowało się od wieków, hołdując rodowym tradycjom. Nie należało poprawiać natury. Wstrząsnąłem podwalinami nowego ładu i okrzyknięto mnie największym przestępcą stulecia. Nim mnie zamknięto we wnętrzu wahadłowca i usypiono, przeszedłem przez prawdziwe piekło, a jego pamięć sprawiała, że jeszcze teraz targały dreszcze moim masywnym ciałem, pokrytym chitynowym płaszczem.